



PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE

WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantarach pism periodycznych po cenie:
rocznie rs. 5 kop. 40, półrocznie rs. 2 kop. 70, kwartalnie rs. 1 kop. 35,
miesięcznie kop. 45.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2.

Wydawca HIPOLIT ORGELBRAND.

Expedyca główna w Warszawie, ulica Bednarska N. 20.

W Cesarstwie Austriackim: w Lwowie u Seyfartha i Czajkowskiego
kwartal: flor. 3 cent. 25; na prowincyi z przesyłką pocztową, flor. 3 cent. 77.
W Krakowie w księgarni wydaw. dzieł tanich i pożytecznych, kwartalnie:
flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 52.
W W. Ks. Poznańskim: u F. H. Richtera, kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 22½,
na prowincyi z przesyłką pocztową tal. 2 sgr. 7½.

SZTUKI PIĘKNE.



Sztuki Piękne weszły zdaje się już, stanowczo w życie wszystkich narodów ucywilizowanych europejskiej rodziny, a co więcej przerzucają i za Atlantyk ziarna posiewu estetycznego tak, iż z szerokości rozramienia ich wpływu, z szerokości podstawy wnosić należy, że doszły do znaczenia prawdziwych czynników cywilizacyjnych; chwila obecna zdaje się więc być stosowną na poddanie rozbirowi pytania, jaka jest głębokość wkorzenia zasad piękna tak w tych, którzy sztuki uprawiają, jak w tych, dla których się je uprawia? czas obejrzeć to, szerokim cieniem osłaniające wielki obszar drzewo, rozpatrzeć się w przymiotach onego; rozpoznać w której części przedstawia więcej, w której mniej gwarancyi trwałości — a dojrzałości owoców.

Praca dziesiątków stuleci, umiłowanie piękna, zapal i twórczość pokoleń najobficiej uposażonych w zdolności i postawionych w najdogodniejszych warunkach bytowania, złożyły się na te podstawy rozwoju piękna plastycznego, które już wiekami całeni wyprzedziły pierwszą dobę ery naszej. Dzieła jakie po tych odległych wiekach pozostały przetrwały już niemało, przewrotów zaszłych w najbardziej podstawowych pojęciach ludów; ubóstwiane i podziwiane, z kolei rzeczy

wzgardzone i niszczone bezlitośnie, dziś znów z błota i pyłu wiekowego otrząśnięte, stawają przed oczyma pokolenia zamiłowanego w nowożytnym postępie umiejętności z tém samém pogodnym a surowém obliczem odwiecznego piękna, budząc zachwyt w dziedzicach przeobrażonych zupełnie zasad religijnych, społecznych i prawnych, w dziedzicach innego weale towarzyskiego uobyczajenia.

Doskonałość, różnorodność, ogrom, tak pod względem massowości jak i niezmiernej liczby prac dokonanych w sztuce przez Egipcyan, Indów, Assyryjczyków i Greków, stanowią pewną w tej najodleglejszej epoce, całość, która czy razem wzięta i porównywana w sobie, czy pojedynczemi poddziałaniami na rodzaje: budowlany, rzeźbiarski i malarski rozpatrywana, stanowi powagę (*) rozstrzygającą w ostatniej instancyi najważniejsze podstawowe pytania dotyczące teorii i praktyki sztuk pięknych, daje bogaty materiał do rozjaśnienia wątpliwości, streszczenia odpowiedzi na pytania w kwestyach zasad i rozwoju odpowiedniego ogólnym przymiotom ducha ludzkiego i szczegółowym znamionom własności rodowych.

Zręby postawione przez tych praocjów cywilizacji, posłużyły odradzającemu się w duchu chrześcijańskim sztukom średniowiecznym za podstawę do wytworzenia całego znów ogromnego szeregu prac. W ciągu kilku wieków obszar europejskiego półwyspu pokryty został dziełami sztuki nie mniejszej godnemi uwagi jak to co przed erą naszą dokonano w Azji, Afryce i na południowych skrawkach półwyspów morza śródziemnego w Grecyi, Rzymie i Iberyi. Znajdujemy i tu znów różnorodność nie mniejszego znaczenia

i niemniej wybitną jak tam znachodziliśmy. Północne europejskie, ostrołukowe, lesistego pozoru katedry do spokojnych poważnych bazylik Włoskich nieinaczej się mają, jak filigranowo rzeźbione pagody indyjskie do egipskich i greckich słupowych świątyń i pałaców.

Druga to powaga bliższa nas żywotniejszego dla nas z wielu względów znaczenia, najprzód iż źródło pomysłowości czerpała przeważnie w podstawach religijnych, na których do dziś dnia opieramy się, następnie że z żywej jej tradycyi jeszcze czerpać możemy, nakoniec iż sama będąc pod względem pojęcia piękna odbiciem epoki poprzedniej, objawwszy w sobie nabytki dawniejszej zdobyczy umiejętności tych, przekazała nam tę umiejętność z swoim własnym nieposlednich zalet dorobkiem, lub jak północno-ostrołukowy styl, z piersi ducha i z myśli własnej wysnuła całkiem nowe nieznanne dotąd kombinacye postaciowego piękna. Ogrom i szczytność tych prac w sztuce mógłby na nas istotnie wywrzeć wrażenie przytłaczające, mógłby zniechęcić do dalszej uprawy plastyki, gdyby nie ten jeden pewnik iż ludzkość w rozwoju swym postępowym na miejscu stać nie może, że rozwój wewnętrzny duchowy musi koniecznie pociągnąć za sobą wyrażenie się na zewnątrz pod postacią sztuk. W przeznaczeniu człowieka i na czole jego niestartemi głoskami wypisane jest to odwieczne *naprzód!*; ktoby na miejscu ogrzanem i udogodnionem przez poprzedników namiot swój rozbić chciał, zatrzymać się w wygodnym tylko używaniu dorobku przeszłości, zginąć musi w gnuśności i zepsuciu.

Historja sztuki zna takie chwile, całe stolecia takiego odpoczynku, a raczej zacołania. Były to wieki, w ciągu których wielkie zasadowe zmiany religijne i społeczne przygotowywały się do wystąpienia z ostatniemi najwyższemi owocami nowego uspołecznienia, doby te zwane w historii przejściowemi, po dojeściu do sformułowania swoich nowych zasad, z kolei zakwitwały, sztu-

(*) Niedawno w jednym z pism czasowych Warszawskich sprawozdawca wystawy T. Z. S. P. dopominał się o powagę w sądzie dzieł sztuki, oto więc jedna; znajomość tego co nas poprzedziło na tej drodze.

kami pięknymi zamykającymi każdą epokę mającego upaść w spoczynek chwilowy ducha pokoleń. Znamieniem epoki upadku sztuk, jest pragnienie zatrzymania się na miejscu, przerabiania tylko tego co poprzednicy wytworzyli, co gdy jest z naturą twórczą sztuk pięknych wskrós niezgodne, zwiędłym liściem swym użyźnia grunt pod nową uprawę. Powołanie do prowadzenia dalszego ciągu uprawy, przechodzi z wyczerpanego, na inny nowy w sztuce naród. Nie zmienia to jednak w niczem natury rzeczy, idea bowiem wzniosłości i piękna jest jedną dla całego rodu ludzkiego, postęp odbywa się więc w jednym zawsze kierunku, chociaż każda zbiorowa indywidualność sobie właściwym sposobem do niego się przyczynia.

Przyłóżmy tu fakta.

Egipt w czasach swój największej potęgi i najświetniejszego rozwoju właściwych sobie przymiotów w sztuce, był szczelnie zamkniętym dla cudzoziemców; na 600 lat przed erą naszą, pod oligarchicznymi zatem mniej już spojnymi rządami stanął z nagłą otworem. Grecy jeden z najruchliwszych narodów a odznaczający się już naówczas wyrobieniem politycznym i pewnymi silnie położonymi podstawami pod dalsze wyrobienie w sztuce byli najpierwszymi którzy starali się wszelkimi środkami wyzyskać pole otwierające się ich wszechstronnemu wpływowi. Sztuka egipska pod wpływem greckiej zmieniła swą postać — zaprzestano budowania piramid i kolosów wszelkiego rodzaju, zapragniono dawne formy budowlane doprowadzić wzorem greckim do większej ozdobności, upadek sztuki Egipskiej wychodzącej w ten sposób ze swojej przyrodzonej sfery działania stał się niechybnym. Egipt mógł bowiem rozwinąć u siebie w sztuce powagę wzniosłą, skromne piękno i proporce: życie, ruch greckich linii nie przystały do jego spokojnych form; rozprężyły je. Trzeba było Greków aby tamte zasoby wiekowej pracy zużytkować mogli na rzecz dalszego postępu sztuki, aby upadek jednej zasady piękna pochłaniającej na rzecz swoją wszystkie inne, spowodował wzrost innej.

Grecy ze swojej strony olśnieni zostali ogromem budowli nadniłowych, zadziwiająco prostota, niezrównanym wdziękiem i doskonałością proporcji panujących w zagłębionych w granit płasko-rzeźbach Egipskich. Na wzór legendowego Prometeusza wykradli swym zamorskim oliwkowym sąsiadom co się dało przejąć z ich wiadomości o sztuce. Proporce ciała ludzkiego w kanon przez Polykleta zamienione, to najświetniejsza zdobycz Hellenów z nad Nilu przyniesiona. Berło sztuki przeszło w ręce Fidiaszów, Skopasów, Praksitelesów, Parhaziuszów i Apellesów. Hellada napelniała się niezmiernym lasem kolumn świątyniowych, każde miasto tysiącami posągów każda ściana świątyni płaskorzeźbami i malowidłami. Począwszy od gliny palonej aż do kości słoniowej i złota, od topionego w ogniu ciemnego brązu do chłodnego a śnieżnego marmuru, wszelki materyał, został na dzieła sztuki zużytkowany.

Sztuka grecka uczyniła ogromny, największy może w historii narodów postęp, lecz i tu z kolei nastąpił ich przekwit. Dążność do uwydatniania życia powoli z ożywiania idealnych posągówych postaci, przeszła w naśladowanie przyrody powszedniej, w naturalizm, w to co dziś nazywamy realizmem w sztuce. Rozpoczęła się druga epoka przejściowa. Zdobywcy Hellady, nieidealni Rzymianie, ozdobiwszy grody, świątynie, place, mauzeola i prywatne domy swoje zabraniami z Grecyi dziełami sztuki, powstrzymali jednocześnie cały rozwój idei greckich, lub może z prze-

kwitłego już narodu wiaść jeszcze zapragnęli co na nim błyszczało: sztuka grecka poszła w posługę realnych Italów; a nie mogąc się zatrzymać w miejscu, przeszła na najpowszechniejszą drogę przetwarzania prac swych dawnych arcymistrzów lub zwróciła się do drobiazgowego portretowania człowieka codziennego w rzeźbie, na zupełną dowolność i swawolę w używaniu form i gotowych cząstek budowlanych w architekturze, a na pstrą i częstokroć zupełnie próżną myśli ozdobność ścian codziennych mieszkań magnackich w malarstwie.

Sztukę rzymską możnaby nazwać nie czém inném jak dalszym ciągiem upadku greckiej gdyby nam nie była zostawiła umiejętności zakładania wielkich grodów — rozstawiania budowli użyteczności publicznej, a w tej umiejętności pewnego, że się tak wyrażę rytmu pewnej, szerokości poglądu na potrzeby mass jako przykład, który w wielu razach do dziś dnia jest nam nicią przewodnią.

Era nasza weszła w posiadanie nawpół w gruzy i rumowiska zamienionych grodów kolosalnego państwa cesarów; najszczytniej idealna, najmniej do ziemi przywiązana, o wyrażenie najwyższego piękna niewidzialnego, widzialnymi, ziemskimi środkami niewiele dbała, i walczyła z cielesnemi wyobrażeniami myśli i uciec najwznioslejszych, nawet pogardzała niemi.

Potrzeba było dziesięciu wieków, aby nowa idea chrystyanizmu stoczywszy zwyciężką walkę z filozofią starożytną, a następnie wrosłszy w życie narodów mogła dojść do plastycznego wyrażenia się na zewnątrz. Rozpoczęła odrodzeniem z początkiem XI wieku, a w ciągu pięciuset lat wydała szereg najznakomitszych arcydzieł, na jakie ludzkość w tej dziedzinie piękna, zdobyć się może,

Do rozwoju idei wzniosłości i piękna rozpoczętej od czysto duchowych porywów modlitewnych Cimabue i Giotta po przez życie kipiącego Masaccia, przepięknego Leonarda, potężnego Buonrotta i wszechstronnie genialnego Sanzia z Urbino, nie mało przyczyniły się tradycje greckie i mnóstwo odgrzebanych najznakomitszych arcydzieł Hellady znalezionych w ziemi i wodach nowych Włoch, łańcuch więc piękna od Egiptu przez Grecyę po raz trzeci zawiązał się i sprzęgnięty odczuwającymi się przez całe przestrzenie wieków geniuszami rozpromienił świetnym blaskiem oblicze sztuki.

Końcowe dziesięciolecie tej nowej epoki odrodzenia się Sztuk Pięknych zbiegły się z pierwszymi laty nowej reformy religijnej i społecznej wzrosłej pośród chrześcijańskich narodów Europy. Refleksya była sprężyną tego nowego zwrotu humanitarnym zwanego, refleksya ta weszła i w dziedzinę sztuki, gdzie wyrazem jej jest szkoła malarska Caraoeich i cały szereg akademii sztuk pięknych zakładanych po całym obszarze Europy dla kształcenia młodzieży w sztukach nadobnych. Zdawałoby się że teraz dopiero sztuki weszły na najwłaściwszą drogę, i że owoce ich produkcji powinny być coraz to dojrzalsze. Tymczasem dwa wieki po świetnej epoce Rafaelów i Michałów Aniołów wcale nieokazują wzrostu sztuki, ale po najstraszniejszym najsromotniejszym upadku po chwilowym podniesieniu się przedstawiają nam znów zamięszanie w pojęciu celów i dróg prowadzących sztuki po dobrym ubitym gościńcu postępu. Gdzież tego leży przyczyna? i jak upadkowi zaradzić, — oto zadanie, które sobie tu postawić i rozwiązać zamierzylimy.

Vasari, współczesnik Leonarda da Vinci, Michała Anioła i Rafaela, sam malarz i historyk

sztuki, wyrzekł pamiętne słowa: „iż po wieki całe, to co sztukami pięknymi zwać się będzie mogło, będzie sztuką włoską.” Słowa te, jak fatalna wyrocznia, zawisły nad całą produkcją plastyczną dwóch minionych wieków.

Przestano wierzyć w jakiegokolwiek bądź inne źródło tworzenia w tej dziedzinie, krom ślepego naśladownictwa arcydzieł wykonanych przez mistrzów włoskich XVI wieku. Poczęto też same ulubione przedmioty religijne przerabiać, chwytano bez wyboru nawet usterki i zbrocenia genialnych, brano je jako punkt wyjścia do dalszego rozrabiania zalet złożonych bezwiednie w samych nawet błędach; wirtuozowstwo w tym względzie doszło do kolosalnych rozmiarów. Dość tu przypomnieć z jaką szybkością potężne formy architektoniczne Buonarrottego przerodziły się w ociążały styl barocco, następnie w tak zwany Jezuicki, więcej rzeźbą niż architekturą trącający, a nareszcie w rococo: wybryk rozbującej fantazyjności i płataniny wszelkiego rodzaju zarysów roślinnych rozrywających spokój i powagę linii architektonicznych. Niemniej na tem fałszywym kierunku ucierpiała rzeźba i malarstwo. Na drzwiach brązowych baptisterium florenckiego, zwanych porta coeli, dla swój niezrównanej piękności ujrzano po raz pierwszy kilku planów perspektywicznych w płaskorzeźbie. Ten błąd, ta fantazyja genialnego rzeźbiarza, skończyła się przed stu niespełna laty na wprowadzeniu w wypuklorzeźbę rzeźbanych z kamienia i drzewa promieni światła i obłoków, nieporównanej niedorzeczności plastycznej. W malarstwie jeden nowością w XVI wieku jaśniejący pomysł Correggia, zamieniający przez malowidło kopułę architektoniczną w otwarte podniebie zapełnione bujającymi w niem postaciami, pociągnął za sobą całe szeregi owych plafonowych malowideł o potwornie powykręcanych skróceniami członkach ciała, które się stały dziwowiskiem dla profanów, a igraszką kunsztu dla rzekomych artystów; wszystko zostało nadużytem; anatomiczne i atletyczne postacie Michała Anioła, śmiało pociągi ręki, wikłania draperyi, prostota nawet powab i wdzięk ostatecznie przez szkołę Karola Maratta wraz z łatwością produkcji wprowadziły próżnię myśli a kokieteryę kształtów.

Szkoła zacnych Caraccich usiłowała powstrzymać wybujałość fantastyczną poczynającą już współcześnie z nimi kielkować w Carravaggiach i Danielach da Volterra, nie mogła jednak nic więcej uczynić, tylko skryształizować i w formuły ułożyć to, co tradycya po świeżo zeszyłych ze światła wielkich mistrzów przekazała; forma trzymała się jeszcze chwilę, upadła jednak wkrótce pod naciskiem wypaczenia obyczajów, które dokonały, czego samo naśladownictwo, rutyna rzemieślnicza i zaniedbanie czerpania z pierwszego źródła, z wiecznie młodej, pięknej i prostotą powabnej przyrody dokonać nie mogły. Malarstwo religijne z czysto nabożnego i religijno-filozoficznego, przeszło w extatyczne a następnie w faryzeuszowskie rzemiosło nieszczerzej dewocyi. Ostatnią pastwą na którą się roznamiętnione gromady pseudoartystów XVII i XVIII wieku, rzuciły była mytologia grecka i młodsza jej materyalistyczna siostrzyca, rzymska ovidiuszowa baśniarka. Cokolwiek tam było jeszcze szlachetności i prostoty pierwotnych pomysłów poetycznych Hellenów, nadużyto i przekręcono, lub w niewłaściwej bezceremonialnej cielesnej nagości i brzydocie moralnej przedstawiać poczęto.

Jak w czasach upadającego Rzymu, tak i tu przewiedle i opadające w błoto życia codziennego liście przekwitłe, stały się mierzwą dla nowo mających wybujać a kielkujących idei.

Końcowe dziesięciolecie zeszłego wieku i pierwsze obecnego, zrzuciły z siebie lekki puder, róże i wieniec atlasowych pasterek i zapragnęły nowych szersze ludzkich form w życiu i w sztuce.

Inną wcale drogą do tego samego końca doszły narody północno-europejskie; styl ostrołukowy, panujący tu, wyłączał długo malarstwo z szeregu sztuk pięknych, rozwinał zaś właściwie tylko budownictwo i rzeźbę, jako ornamentację tylko podając ją w posługę architekturze, ztąd też i styl owęj rzeźby a następnie malarstwa, nosił na sobie cechę fantazyjnego naciągania wszelkich zarysów do kątowatych zagięć architektury, stał się czemś dziwnie karykaturalnym, mimo wszelkie zalety duchowego nastroju i wyrazistości. W czasie kiedy znakomici mistrze Dürer Norymberski, Krakowski Stwosch i Holbein, otrząsnęli sztukę swą z barbaryzmu i brzydoty, dorównali dwaj pierwsi, w pomysłowości ostatni zaś w sposobie malowania, rzymskim i florenckim malarzom. Reforma podkopała przyszłość najwyższego bo religijnego tworzenia w sztuce. W Anglii pod karą śmierci ucięcia ręki lub t. p. nie wolno było wykonywać obrazów religijnych, w Holandyi i Niemczech ograniczało się malarstwo do przedmiotów z opowieści biblijnych, a później wzięwszy ze stanowiska humanitarnego, człowieka zwyczajnego za swój najwyższy ideał, zeszło do karczemnej pospolitości i zwierzęcego brudu.

Najznakomitsi z Hollendrów: Rembrandt, Rubens i Vandyck, oprócz małej liczby istotnie religijnych pomysłów, całą genialność swoją obrócili ku wyrobieniu zewnętrznych powabów sztuki, tak iż portret i mythologiczne lub allegoryczne okolicznościowe koncepcje, stały się szczytem ich dążeń. Wyszlachetniała wprawdzie szkoła Hollenderska pod wpływem włoskim stanowczo rozpostartym w XVII wieku po całej już Europie, skończyła jednak jak wszystkie inne na przeróbkach mythologicznych bajek, sprośnościach i szermierce pędzla, dłuta i form budowlanych.

Spotykamy też tu fenomen, który już w Grecyi i podczas odrodzenia sztuki chrześcijańskiej ukazał się tym fenomenem a raczej koniecznością wewnętrzną duchową jest jednoczesność społecznego przeobrażenia i filozoficznego ducha z zakwitem sztuk. W Grecyi ten zakwit przypadł jednocześnie z Arystotelesem, Platonem i Sokratesem; w świecie chrześcijańskim, bezpośrednio po Dancie, a jednocześnie z sławnymi uczonymi Albertim i Bembo humanistą Castiglionem. Koniec XVIII wieku a początek XIX, był wybitnie filozoficznymi i społecznymi nacechowanymi zwrotami. Chodowiecki współczesnik Śniadeckich, Kanta i Lessinga, kojarzy prace swoje i talent postrzegawczy i rysowniczy z badaniami Lavatera; nasz Smuglewicz, Dawid i Gerard, francuzcy malarze, rozpoczynają odnowienie sztuk pięknych od zwrotu ku badaniom starożytności greckich, odszukiwania piękna wyższego w przykładach nieśmiertelnych bohaterów starożytności greckiej, czystość i prostotę form plastycznych, opierają na podniosłości ducha. Goethe poeta i filozof i Niebur badacz starożytności, dają popęd szkole niemieckiej do wyjścia z archaicznych form Dürerowskiej sztywności na drogę powszechnego ludzkiego piękna, skryształowanego od wieków w sztuce greckiej, a odrodzonego we włoskiej. Po czasach upadku i ślepego naśladownictwa następuje przeobrażenie czerpiące z umiejętności i form urobionych to tylko, co bez szkody dla ducha z nich wziąć można jako spadek doświadczenia. Te lat kilkadziesiąt wydały szereg znakomitych arcymistrzów we wszystkich gałęziach sztuk plastycznych. Guerin, Gros, Ingres, Delaroche, uświetnili kartę histo-

rii malarstwa francuzkiego; Kornelius, Overbek, Bendemon Hess, zasłynęli w Niemczech, a rzeźba wydała Canowę, Thorwaldsena, Davida, Rude'a Dupres, Raucha, Schinkel zasłynął w budownictwie. Z tych jasnych promieni kilka zbiegło i ku nam, przedwcześnie zmarły Antoni Brodowski ze szkoły Dawida i budowniczowie Henr. Marconi i Corraci dali nam przedsmak lub owoce tego czem prawdziwy klasyceizm, czem istotna dobra szkoła sztuki, świetnieć może i powinna.

Atoli „robak się legnie i w bujnym kwiecie,“ jeszcze nie zesza z horyzontu zorza tych dobrych tradycji, tego wzorowego kierunku w sztuce, kiedy w ostatnich kilkunastu latach naraz groźne chmury przyćmienia, zle zwiastuny zepsucia dobrego smaku, poczęły okazywać się na widnokręgu sztuki. Zewsząd poczynają się podnosić głosy, iż zaczyna się źle dziać w sztuce. Jakież jest to źle? gdzie źródło onego? Wszakże pełno jest wzorowych szkół, akademii w największych miastach Europy, wszakże wszystkie na tych samych prawie oparte są zasadach nauczania, wszakże rządy wielu krajów zamóżnych poświęcają niemałe summy na krzewienie sztuk pięknych, wszakże i towarzystwa prywatne groszem swoim popierają produkcję artystyczną, lub dopomagają do rozpowszechnienia owoców sztuki pomiędzy sobą.

Określmy sobie najprzód naturę tego złego, gdzie ono leży i w czem. Oto na pierwszy rzut oka zaraz przy zwiedzaniu jakiegokolwiek wystawy lub muzeum europejskiego, uderza nas rozstrzelanie pracowników na najrozmaitsze najekscytryczniejsze nieraz tory, brak spójni w tém wszystkiem co się robi, podział na jakieś nieznanne dotąd w dziejach sztuki kierunki, rozróżnienia fantazyjne, pachnące niby coraz obfitszą nowością dróg, a w gruncie obliczone na zajęcie uwagi oryginalnością, efekciarstwem. Coraz mniej prac płynących z duszy i z prawdziwego przekonania, a coraz więcej rzemieślniczych wyrobów czysto technicznego, nieraz bardzo wysoko, do genialności, posuniętego wyrobienia formy zewnętrznej. Duch nie góruje nad formą ale postać rzeczy chce okupić czezość lub brzydotę treści.

Budownictwo ogranicza się do naśladownictwa stylów dawnych które częstokroć wypacza, albo wpada w takie architektoniczne anomalie jak budowla Nowej opery w Paryżu, przedstawiająca igraszkę linii mass i wyskoków,—lub niemoże się zdecydować na utworzenie żadnej nowej formy i ubóstwem świeci. Rzeźba ma jednego albo dwóch przedstawicieli, którzy chroniąc się manieryzmu efektów malowniczych i naturalizmu, dobre zasady jeszcze krzewić są wstanie.

Najogólniejszym za to i najpowszechniejszym jest ten dziwny podział twórców plastycznych w malarstwie na tak zwanych kolorystów i rysowników; rzecz niesłychana odtąd w sztuce jakiegokolwiek wieków, aby jedna z tych połów całości, mogła lub chciała obejść się bez drugiej, możnaby pomyśleć słysząc o takim podziale z ust ludzi fachowych, iż on istnieje lub istniał kiedykolwiek bądź. Czyż może ktokolwiek przypuścić lub twierdzić, iż kolorysty Giorgione albo Titian nieumieli rysować, gdy wiemy iż ten ostatni najdzielniejszy z mistrzów barwy, dawnych i nowych wieków, w 18 roku życia już od swego rysowniczego mistrza Belliniego niemógł się niczego nauczyć, a w dwa lata później i Giorgione w zarysie i barwie prześcignął? albo czyby kto mógł na seryo utrzymywać, że z rysownictwa słynący Michał Anioł, Rafael, Leonard byli słabymi w kolorycie, w prawdzie życia lub ciała? czyż podobna twierdzić że nie złożyli dowodów mistrzostwa i w tej połowie swojej umiejęt-

ści? Cóż więc znaczy ten podział, co znaczą ubóstwienia takich ekscentrycznych wybryków, bezrynkowych i bezmyślnych jakimi ołsniewał niekiedy sławny Delacroix lub jakimi dziś w Monachium bluzga sztuce w oczy naśladownik dramatyczności Delaroche, zimny Pilloti lub próżny treści, uczeń jego Makart? Niedosć na tém, są inne jeszcze manowce dzisiejszego zupełnie pokroju. Bywają malarze którzy się uwzięli komponować lub malować w stylu tego lub owego starożytnego malarza i doprowadzają robotę do tego złudzenia, iż n. p. wslawionego i złotemi medalami ozdobionego Leysa belgijczyka czy Hollendra obrazy, niezdarkością postaci a udaną naiwnością roboty, mogłyby uchodzić za wykonane w czasach Quintina Metzisa lub Łukasza z Leydy, religijne zaś obrazy Füricha za prace jakiegoś włoskiego braciuszka zakonnego XV wieku, który z za murów klasztoru niewychylając się, niewidział całego postępu sztuki, jakiego się pod oknami jego celi odbywał.

Jeżeli do tego dodamy jeszcze naturalizm, a raczej realizm naśladowników Courbeta i wszystkie nagości szkoły francuzkiej; szeregi umysłnych archaizmów i sztywności pewnych szkół niemieckich, będziemy mieli chaos któryby można określić jednym wyrazem hipokryzyi w trzech odmianach: pokrywającej brak treści oryginalnością barw, zasłaniającej ubóstwo duchowe powagą naśladowanych i podszywającej się pod uznane wiekami zalety naiwności pierwotnej.

Niewspomniemy tu już wcale o całych szeregach a nawet tysiącach tak zwanych artystów trudniących się fabrykowaniem rzekomych dzieł sztuki; aby nieprzyciemniać barw obrazu dość już ciemnego, a zdążamy do konkluzji mającej odpowiedzieć na pytanie, co dalej będzie na tej drodze? czy dzisiejszy zwrot do badań specjalnie naukowych, pozytywnych niepada w poniewierkę sztuk nadoznych?

Jesteśmy zdania, iż prawdziwej podniosłej sztuce, nie grozi niebezpieczeństwo upadku, a to z następujących powodów. Najprzód iż badania bezpośrednio skierowane do specjalnych poszukiwań, ściśle naukowych, ekonomicznych i społecznych, pośrednio już zaczynają wpływać na rozbiór samęże kwestyi sztuk pięknych, a zwłaszcza tego: czy należy i pożytecznym jest popieranie i zachęcanie do pracy na tém polu, tego mnóstwa ludzi bez wyższych zdolności umysłowych, gnuśniejących częstokroć w tej opiece a zatem niemogących wznieść się ponad sferę technicznego wyrobku. Następnie dla tego iż też same badania rozjaśniając wszystkie kwestye teoretyczne techniki i sztuki od wiecznego jej bytowania w historii, uczynią tę technikę doskonalszą a prawo bytu trwalszem, a nareszcie iż sfera myślenia społeczeństw oświeconych, rozszerzając się badaniami, musi z kolei rzeczy przyjsć do filozoficznego na siebie poglądu i spowodować postęp we wszystkich kierunkach podnioslejszego myślenia, że razem z wyrabianiem się materyalnej strony społeczeństw, duchowa ich strona musi wstąpić na wyżyny idealniejsze, czego wymaga same wrodzone człowiekowi tak pojedynczemu jak zbiorowemu poczucie potrzeby równowagi wewnętrznej. Możliwość tu jeszcze dodać, gdzie się daje dostrzegać kielkowanie tych poglądów, dla zbyt jednak blizkich na to pod względem czasu przykładów, zamknijmy rzecz w tych wyrazach które wyżej wypowiedzieliśmy: słowo *naprzód* niestartemi głoskami wypisane jest na czole społeczeństw ucywilizowanych, postęp leży w odrzuceniu złych dróg, a w zajęciu dobrych, w uczynieniu działania w nauce i umiejętnościach,

zdrowem i jednolitem — tylko postępem utrwala się byt.

HEROD-BABA

OPOWIADANIE DZIADKA

spisane przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy. Ob. Nr. 6).

Nigdy bywało siedząc doma Piętka się bez mrognięcia przy sobie obejść nie mógł. Choć

przystawało. Było już takie zaprowadzenie na dworze iż szli jak w dym... do Piętki. Gdy się który tylko nie miał gdzie podziać — słano go do Zygmunia.

Jejmość wprawdzie tego dworu darmozjadów nie lubiła, ale jemu pochlebiało że zawsze z kalwakatą dworno się mógł przedstawiać. Ostatnimi czasy przybłąkał się był tak niejaki Julek Dziemba, chłopak niczego, a trudno go było poznać rzeczywiście kim był, bo mileżał wiele, pokorną miał postać — tylko wedle przysłowia, cicha woda brzegi rwie — jejmość nań koso patrzyła — za to Zygmunta tak się jakoś przypodobać umiał, że ten prawie się bez niego obejść nie mógł. Dziemba mu towarzyszył wszędzie, z li-

bą i w drogi pan Zygmunt, myślała jejmość że go gdzie podzieje — ale nie.

Gdy się to nieszczęście stało, że Zygmunt za francuzicą drapnął, Dziemba we dworze był i w nim został. Elżunia ani nań spojrziała. Chodził do stołu, miejsce mu dawano, chleba nie odmawiano, lecz dobrego słowa nigdy. Cały ów gniew jejmości, odgródki jej, wybór w drogę, wszystko się to w oczach jego odbyło — patrzył się nie mówiąc. Gdy inni na Zygmunta pioruny ciskali, on ani mruknął — spuszczał oczy i ręce zwinawszy palcami kręcił. Chodził, narzucając się do jakiej służby, na posyłkę, ale jejmość go użyć do niczego nie chciała. Inni też we dworze co mu łaski pańskiej zazdrościli, nie bardzo się doń zbliżali...



ŻEBRACY.

Kopia z obrazu Kotsisa znajdującego się na Wystawie Towarzystwa Zach. Sztuk Pięknych.

fortuna szlachecka nie bardzo starczyła na to, młodzieży kilku miewał przy sobie, aby mieć z kim pobaraszkować, w warcaby zagrać, na polowanie ruszyć i do celu o lepszą strzelać. Mieniało się to u niego, bo na jurgielt i barwę brać nie mógł, tylko zwykle czasowy dawał przytułek takim którzy sobie dworskiej służby szukali. Ale że dostatek był, kuchnia zawieszista i Zygmunt wesoły towarzysz, nigdy tam na nich nie zbywało. A trafiali się różni, czasem pokorne chłopaki choć ich do rany przyłożyć, więcej trutniów, próżniaków i burdy, z którą długo żyć trudno. Pan Zygmunt to potem bez ceremonii wymiatał, — lecz gdy jednego się pozbył, trzech na jego miejsce

stami jeździł. Do wszelkiej hulanki posługiwał, szeptali z sobą nieustannie, podarki brał, nawet mu konia z rzędem za coś ofiarował pan Zygmunt. Dla jejmości też usłużnym był, nie można powiedzieć i przypodobać się starał, ale mu się to nie udawało, ta się od niego odwracała nie chcąc go znać. Czula w nim zausznika i pochlebę, jak powiadała. A im ona bardziej się nań krzywiła, tém u Zygmunta więcej w łaski rosła.

Dziemba ten, młody jeszcze, chłop jak dąb, silny, zręczny, na twarzy blady, oczu biegających i niepewnych, jakby do dworu przyrósł; inni się mieniali, ten siedział... Parę razy brał go z so-

koniowi obroku uszczuplać zaczęto, chłopcu coraz było ciaśniej, dosyć że gdy surowcowe pasy do jejmościńej kolebki kręcono, jednego ranka Julka Dziemby nie stało. Dopatrzone się koło południa, że odrobinę rzeczy które miał w troki wziął, nawet bieliznę nieupraną od praczki ściągnął, konia sobie osiodłał i ruszył w świat. W izbie którą zajmował, ino siano na tapczanie zostało i kupka śmiecia w kątku... a na ścianie wielkimi literami napisał kręda: *Valeta!*

Gdy Elżusi o tém powiedziano, pokiwała tylko głową, uśmiechnęła się i rzekła: — Z Panem Bogiem — i — krzyżyk na drogę. Nikt nie wątpił, że poznawszy iż tu nie ma co dłużej popasać, jak

nie pyszny pan wyniósł się cichaczem. Nie domyślał się wszakże nikt tego, iż Dziemba, który wszystko słyszał i wiedział co jejmość mówiła i z czem się odgrażała — postanowił za panem Zygmuntem gonić, choćby na kraj świata, aby go o niebezpieczeństwie ostrzedz — a może mu wstydu oszczędzić.

Nie to nie było dziwnego wówczas, że się młody ubogi szlachcic na szkapie włócił choćby i najdalej; podróżowali tak ludzie przez ciekawość po całym świecie, choć się też trafiało że czasem zajechali niekoniecznie tam gdzie chcieli. Dziemba choć młody jeszcze, ale od lat pono ośmiu różne kąty wycierał, naturę miał taką że nie bardzo mógł na jednym miejscu usiedzieć. Milcząc, powoli umiał sobie wszędy radę dać, bo wytrwał był na podziw i lada czem się nie zraził. Na konia którego od Zygmunta dostał, mógł śmiało rachować iż go w szachu nie zostawi: gniadosz był grubo płaski, biegun nie ciekawy, a na podziw wytrzymały i nieznużony. Zdawał się iść sobie zwolna, krok miał jednak spory jakiś i choćby się najtężej zmęczył, nigdy go spóźniałego niewidziałeś.

Dziemba siadłszy nań ruszył naprzód do Warszawy; tu on już różne znajomości miał, wiedział gdzie pytać i języka łatwo dostał. Powiedziano mu bez ogródki iż za francuzicą do Drezna Zygmunt ruszył, bo od przyjaciół informacyi zasięgał gdzie ma stanąć i rekomendowali mu gospodę pod „polskim trębaczem” na placu, gdzie wówczas wielu zajechało. Którędy się udał łatwo było odgadnąć, bo inaczej wówczas nie jechał prawie nikt jak na Wrocław. Pokierował się więc i on tą samą drogą, dwa razy popasując, noy i rana zachwytyjąc, a konia nie nadużywając. Że się tam saskie wojska kręciły, a i z pruskim oddziałem spotkać się z biedą było można, torbę sobie skórzaną powiesił, i mówił że z listami był posłany do wojewody którego skomponował od hetmana tej samej nominacyi. Nie mu się nie trafiło w drodze i tak szczęśliwie, poprzedzając o dobrych kilka dni jejmość, dobił się do stolicy, kędy jak w wodę wpadł.

Że go wszakże widywano we dworze u Piętków, gdy Elzusia przybyła do Warszawy, a tu stanęła wysławszy stryja Eligiego na zwiady, przyplątał się zaraz do niej żydek faktor znajomy i na pierwszym wstępie powiedział, iż jadącego, *pewnie od jasnie pani*, dworzanina Dziembę z listami do jasnie pana, widział i gadał z nim, a zapewniał że już niechybnie nawet na miejscu stanąć musiał.

Nowina ta nie mile bardzo w sercu Elzusi zabrzmiała, zarumieniła się, usłyszawszy ją, przed żydem, jednak wydawać nie chcąc, poczęła go o Dziembę rozpytywać.

Żyd myślał że chwalać go i rozwodząc się nad nim największą jej uczyni przyjemność — począł tedy swego mniemanego posła pod niebiosa wynosić.

— Był tu, ja jego sam widziałem, gadałem z nim, wołał prędko zachłystając się aż od pośpiechu — co to za sługę jasnie państwo mają. Jak on tu rozpytywał, jak on drogę zwiedził naprzód, jak on koło konia chodził!!

Plół tak żyd ledwie się go pozbyć nareszcie mogła Elzusia... Wielce jej ta wiadomość była

nie na rękę. Łatwo się mogła domyśleć że Dziemba pospieszwszy wygada przed jejmością wszystko, ostrzeże go i całą tę pogoń może nadaremna uczynić.

Zawahała się jak dalej postąpić, alisci i stryj nadszedł wiodąc z sobą drugiego takiego starego jegomości jak był sam, z opuszczonymi wąsami... Był to pan starosta Liwski, niejaki Brzeziński, dawny Okoniów przyjaciel. Ucałowawszy naprzód rączki Elzusi, zasapany drogą, wykaszłał

trzu się nosiły i kłękały i kregowały... na podziw, ale — z piekła rodem, mościa dobrodziejko — ten bezwstyd, jakiego u nas od początku świata nie bywało...

— Cóż one! piękne tak? zapytała niecierpliwie Elzusia.

— Nie bardzom się im przypatrywał, mościa dobrodziejko, aby na sumienie tego wszeteczeństwa nie brać — a no — rzekł starosta — nie wydało mi się to nic osobliwszego... tylko pomalowane jak jajka wielkanocne.

— A ta Duparc? spytała Elzusia.

— Na teatrum wydaje się i trzpiocze jak młode kurczątko, mościa dobrodziejko — mówił starosta, a ci co metryki znają, zaręczają, że do czterdziestówki jej nie daleko... Wszystko to występuje przy świecach, bo po bożym dniu tynki by te na twarzach powylaziły.

Westchnął starosta.

— Syna mi ta Fanfan powlokła, mościa dobrodziejko, jak asindźce Duparc zabrała męża, choć mojemu Jurkowi rychlej się to przebacza, boć nie żonaty, a Zygmuntowi niedarowana rzecz, kto na asindźkę spojrzy. Ale one mają swe sztuki, w winie im napoju jakiegoś zadają szatanice, że i najrozumniejszy głowę straci.

Załamał ręce starosta.

— Tę pociechę mam, dodał, że Jurek pieniędzy dużo nie wziął, a gdy tych się przebierze, wracać musi, bo tam bez grosza popasać długo nie dadzą. I jejmościń też jeśli worka nabitego nie powiózł, wkrótce się napowrót zjawi jak tu-recki święty...

Elzusia nachmurzona nie mówiła nic — po chwili jeszcze raz zapytała starostę.

— Opisz że mi asindziej, jak ona wygląda?

— Duparc? mościa dobrodziejko — a no! to przecie światu wiadomo że król J-mość, była chwila, bardzo wielkie miał w niej upodobanie. Niczego! Oczy czarne wielkie, brwi także, nie wielka a no giętka i wylamana... dalej... już powiedzieć nie potrafię... Twarz nie nasza, znać cudzoziemkę, niby włoszkę, niby cyganek...

Elzusia ręce załamała, spuściła głowę.

— Panie starosto, rzekła — masz tam syna, jedź ze mną, dwóch zbiegów razem ściagać będziemy i wzajem sobie pomagać.

Zamyślił się Brzeziński. — Dalipan bym to uczynił, rzekł — gdyby się to na co zdało — wiary nie mam, wywiną się nam zbiegi tak że ich nie pochwycimy, a gdybyśmy i złapali — cóż dalej?

— O! ja z moim będę wiedziała jak się rozprawić — a jeśli mi nie poprzysięże poprawy, dodała — no — to mu jak psu w łeb wypalę!!

Na te słowa starosta rękami obiema uszy zatulił, głowę w ramiona weisnął. — Co asindźka mówisz — przerwał — cyt! cyt! nie godzi się nawet na wiatr takiej groźby rzucac...

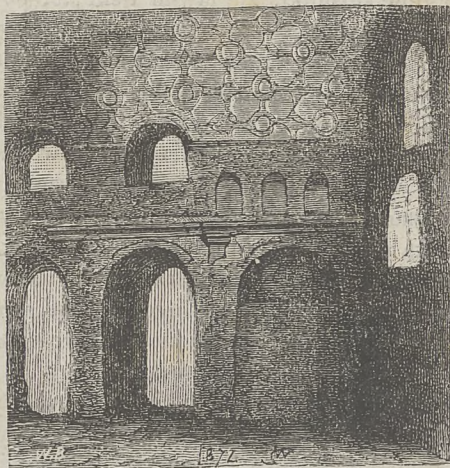
— Mój starosto — gorąco podchwyciła kobieta, albo nie mam świętej słuszności za sobą? Wymagają od nas wiary, niechże nam jej dochowują? Jeśli który nikczemnie zdradza, niechże się choć tai i wstyda, a nie przed całym światem srom domu roznosi? I ma mu to być przebaczonem, bezkarnem, a powróciwszy będzie mi chciał w domu rozkazywać i ja przed nim padać mam jako



Nr. 1 KOŚCIÓŁ Ś-go JERZEGO (zewnątrz).

(48).

się nim mówić począł. — Moja mościa dobrodziejko, a to mi szanowny pan Eligi powiada, że asindźka za tym wietrznikiem gonisz! Po co się to zdało szukać wiatru w polu. Wróci on i sam... Jam na to patrzył niemal jak ich tu dwóch, a bodaj trzech w te sidła wzięto. Przywieźli te nieszczęsne skocznicę razem z teatrum królewskim... a szło wszystko na operę dobijając się dostania u dworu



Nr. 2 KOŚCIÓŁ Ś. J. wewnątrz.

(49).

biletów, jakby na odpust lub nabożeństwo! Wszakże mi tam druga taka szatanica jak owa Duparc, niejaka Fanfan, mościa dobrodziejko, tak samo syna uwikłała, że za nią mi się wyrwał do Saksonii!

— A widziałeś pan starosta tę Duparc? zapytała Elzusia.

— Dwa razy, mościa dobrodziejko, dwa razy w balecie, jakiejs księżniczki Aulidy. Skakały te małpy i wyrabiały nogami łamańce, że sobie człek oczy musiał zakrywać, a co która bezeceństwo popełniła, to klaskano i cieszone się jakby cudu dokazała. Prawda że tam one i w powie-

przed panem a małżonkiem! Niedoczekanie ich — krzyknęła Elżusia — trzeba im pokazać że nie zawsze kobieta łzami się tylko bronić umie.

Gdy to mówiła, poeciwy starosta z otwartymi ustami stał, jakby uszom własnym nie wierząc... bladł, przestraszył się, oglądając na Eligiego... nie wiedział co mówić na to.

— Mościa dobrodziejko, wyjąknął dobrze się namysliwszy — jest raeya... to pewna, czy tylko tym sposobem poprawicie lotra waszego, niewiem. Niezwykła to rzecz widzieć niewiasty tak mężne... a no... a no... ciarki po mnie przeszły gdym asindźki słuchał. Spojrzawszy na nią ludzie potępią Zygmutusa, a posłyszawszy kto wie? gotowi powiedzieć że z husarzem się ożeniwszy omyłką, drapnął od niego, gdy wasy zobaczył.

Elżusia popatrzała nań, a jakby na dowód iż husarzem nie była, rozplakała się.

— Co tu począć? zawołała. Może byś asindziej miał słusność, gdyby z innym doczynienia było, a nie z tym oszalałym Zygmutusem. Łzy tu nie pomagają.

— A krucice jeszcze mniej, odparł starosta — wierz mi asindźka.

— Więc cóż? cierpliwość, ale ja jej nie mam.

— Hm! znalazłoby się coś jeszcze — odezwał starosta... tylko to nie dla asindźki...

— Cóż przecie? pytała Elżusia.

— Nie stworzona jesteś komedią grać... co w sercu to na dłoni! a tu by trzeba właśnie tak postąpić jak w onęj sztuce którą na teatrum widział, gdy ostatni raz król JM. był, a z nim francuzka Duparc. (d. c. n.)

O NIEDOKREWNOŚCI

(MAŁOKRWISTOŚĆ — ANAEMIA).

Zdrowie — to niezbędny warunek życia, to marzenie człowieka, bez którego przy największych dostatkach, szczęścia nie ma na świecie! Poznanie koniecznych warunków zdrowia jest niewątpliwie dążnością każdego, kto chce cieszyć się nim w całym tego słowa znaczeniu. Hygiena i dyetetyka dostępne dla publiczności, zapoznają ją właśnie z tem, co sprzyja zachowaniu zdrowia, nie wkraczają jednak w dziedzinę choroby, której znajomość jest równie dla każdego pożyteczną, jak poznanie zdrowia i tego co potrzeba do jego utrzymania. Na tem polu stąpa medycyna w swych rozlicznych gałęziach, i dopuszcza do swego ołtarza zastęp lekarzy tylko, przed którymi rozpościera całe skarby obszerniej wiedzy, — podczas gdy publiczność nie-lekarska zadawałniać się musi tem, co lekarze, w obcowaniu z nią, powiedziec jej zechcą. — Po części dziwić się temu nie podobna. Medycyna wspiera się na tak wielu i tak specjalnych wiadomościach, że tak zwane „popularyzowanie nauki lekarskiej” nie zawsze jest możliwem i pożytecznem. Gdy jednak idzie o kwestye zrozumiałe i dostępne dla nie-lekarskiej publiczności, o pewne objawy codziennie i łatwo pod zmysły podpadające, a dla swęj powszedności właśnie mało na siebie zwracające uwagi, wtedy danie publiczności wskazówek, obudzenie baczności na te objawy, których pominięcie może pociągnąć za sobą niemoc fizyczną i duchową całych pokoleń, — jest świętym obowiązkiem medycyny. Takie podzielenie się w granicach możliwości nauką mozolnie zdobytą, przyniesie korzyść i dla samych nawet lekarzy, wykorzystani bowiem z pojęć nie-lekarskiej publiczności owe mnó-

stwo przesądów, z którymi medycy do dziś dnia jeszcze walki staczać muszą.

Przedmiotem takich przystępnych wyjaśnień mogą być nie tyle same pojedyncze choroby, ile pewne stany chorobowe, podanie ich najwybitniejszych cech i objawów, i zwrócenie uwagi na ich przyczyny, jak również położenie nacisku na środki higieniczno-dyetetyczne, mające na celu zwalczenie lub złagodzenie danego stanu chorobowego, — środki, które właśnie są w ręku publiczności samej, w ręku matek dzieci cierpiących. Nie będzie to wprawdzie opisanie naukowo-lekarsko wyczerpujące przedmiot, ale oto nie chodzi, gdyż nie pisze się tego dla lekarzy. W Niemczech naprzykład tego rodzaju opisy podawane są nie tylko w oddzielnych książkach, ale i w gazetach i dziennikach; dlaczegożby więc coś podobnego nie było możliwem i u nas? —

Te uwagi nasuwały nam się niejednokrotnie, teraz zaś wygłaszamy je pod świeżym wpływem artykułu D-ra Kleneke („O niedokrewności”), traktującego o jednym z najważniejszych stanów chorobowych. Na początek więc pragniemy obecnie zaznajomić publiczność naszą z tym stanem chorobowym. W opisie trzymać się będziemy głównie wzmiankowanego artykułu, z niejakiemi zmianami i dodatkami.

Z pomiędzy stanów chorobowych nawiedzających ród ludzki, obok niedokrewności nie ma może drugiego, którego popularna znajomość byłaby równie niezbędną, gdyż choroba ta wkrada się coraz głębiej i obszerniej w życie młodzieży, i nie tylko porywa liczne ofiary zakłócając szczęście rodzinne, lecz także zagraża coraz wzmagać się osłabieniem pokolenia. Znajomość niedokrewności jest tem ważniejszą dla publiczności, że stan ten daje się ograniczyć lub zwalczyć przez właściwy sposób życia, wychowania i odpowiednie środki, a pożądanym ten cel może być osiągnięty tylko przez współdziałanie samej publiczności.

Choroby, dotykające czy to pojedyncze osoby czy też całe pokolenie, nie są czémś przypadkowem, czémś co przychodzi i mija, ale są zarówno w jednostce jak i w całej generacji przygotowane ukrycie przez konstytucyę, sposób życia, społeczne i ogólne stosunki, złe jawne i skryte; potrzeba tylko przyczyny okolicznościowej, przypadkowej, aby utajony zaczątek choroby nagle na jaw wystąpił, i zagroził osobie nią dotkniętej. To zagnieżdżone, z krwi do krwi przechodzące ziarno choroby, jest przedewszystkiem w stanach chorobowych dotykających całą generacyę, tem ważniejszym i bardziej groźnym, że pojedyncza jednostka nie zawsze zdoła coś poradzić w tym względzie, gdyż szkodliwe przyczyny ustawicznie działające, tkwią w ogólnych stosunkach społecznych i fizycznych, i na podobieństwo niezdrowego powietrza panują nad ludźmi.

Pomiędzy przyczynami takiego stanu, występują z jednej strony: nędza, troski o życie, walka o byt i pozory honoru i szczęścia, z drugiej zaś: zbytki we współczesnym życiu cywilizowanem, z przedrażniającymi rozkoszami, trwonieniem sił i soków, niestosownym sposobem życia, nieodpowiedniem wychowaniem dzieci i młodzieży, z życiem przyspieszonym i nieobliczonym, wzburzeniami umysłu, namiętnościami i wysileniami duchowemi. — Oto przyczyny które wywołały stan chorobowy w mowie będący i przenoszą go z rodziców na dzieci, — stan który na mocy właściwego ocenienia jego istoty, nazwanym został *niedokrewnością, zubożeniem w krew*.

Krew niedostaje żelaza, a to jest jednoznacznie z brakiem odpowiedniej ilości krwi. Krew nieprawidłowo złożona jest mniej czerwoną, raczej

wodnistszą od prawidłowej, gdyż brak jej dostatecznej ilości tego stałego składnika, który nadaje krwi mocno czerwone zabarwienie, przyjmuje w płucach tlen (ów czynnik nieodzownie potrzebny dla utrzymania życia, dla przemiany materii, dla spraw odżywczych i twórczych, dla żywotnego pobudzenia układu nerwowego). brak krwi dostatecznej ilości krążków czerwonych (ciałek czerwonych krwi), które w prawidłowej krwi znajdują się w niezmierniej ilości.

Właśnie brak tej prawidłowej ilości ciałek czerwonych krwi (o czém przekonać się można przy pomocy mikroskopu), stanowi moment przyczynowy zjawisk, które zbiorowo na mocy tej przyczyny, nazywamy „*niedokrewnością*.” — W otocze lub w części obwodowej, korowej ciałek czerwonych krwi zawarte jest właśnie żelazo, które jest niezbędnie potrzebne dla życia krwi; ilość żelaza stanowi nieco więcej nad 0,5 na sto ciężaru ciałek, a mianowicie w postaci żelaza metalicznego. Jeżeli więc brak krwi żelaza ważnego dla jej czynności żywotnych, to brak i przenosiocieli tego żelaza, czyli brak odpowiedniej ilości ciałek czerwonych, stanowiących ważne części krążące w krwi, i roznoszące z sobą siłę życiową wraz z jej istotnymi czynnościami.

Nie od rzeczy będzie dodać tu kilka słów dotyczących się składu (budowy) krwi. Krew człowieka złożona jest z *osocza*, t. j. płynu bezbarwnego, mającego odczyn alkaliczny, oraz z *ciałek krwi* dostrzegalnych przy pomocy drobnowidza, zawieszonych w tym płynie w wielkiej bardzo ilości. Ciałka te są dwójakie: *czerwone* i *bezbarwne*; pierwsze daleko liczniejsze (na 500—350 czerwonych przypada średnio 1 białe). Ciałka *czerwone* krwi człowieka i zwierząt ssących, stanowią krążki okrągłe, dwuwklęste, (u wielbłąda tylko są owalne). U ptaków są owalne i płaskie; u ryb owalno-okrągłe. W krwi człowieka pozostawionej w spoczynku, ciałka czerwone układają się obok siebie w postaci podobnej do ruloników pieniędzy.

Ciałka białe (bezbarwne) *krwi*, stanowią u człowieka komórki większe od ciałek czerwonych, i składają się z ciała (protoplazma) samodzielnie kurezliwego, na mocy czego ustawicznie kształt zmieniają, wydając wypustki i wciągając je napowrót; przytém mogą zmieniać miejsce z przyczyny kurezliwości i wydostawać się przez ściany naczyń, krwionośnych która to sprawa nabrała w ostatnich czasach wielkiego znaczenia dla powstawania ropy. Własności tych ciałek czerwonych nie posiadają; ciało ich jest sprężyste. —

Ciałka czerwone krwi wytwarzają się z bezbarwnych; zmiana ta następuje ile się zdaje w całej krwi, wykazaną zaś została głównie w śledzionie, gdzie w krwi żyłnej znaleziono formy przejściowe od ciałek bezbarwnych do czerwonych. Ciałka białe tracą kurezliwość, i wytwarza się w nich barwnik krwi, jak się zdaje pod wpływem tlenu powietrza. Ciałka białe krwi powstają u człowieka (nie zaś u płodu) z ciałek limfatycznych, do których są zupełnie podobne; te zaś ostatnie wytwarzają się głównie w gruczołach limfatycznych całego ciała i w gruczołach Payer'a w kiszkiach; niemniej w grasicy, gruczole tarczowym i w śledzionie.

Z drugiej strony ciałka czerwone w prawidłowej przemianie materii, niszczejają ustawicznie w organizmie, głównie w śledzionie, wątrobie, nerkach, dając początek rozmaitym barwnikom (żółci, moczu etc.); na ich miejsce wytwarzają się nowe (z ciałek białych krwi).

Krew odróżnić się daje na tętnicy (czerwona, od obfitości w tlen) i żyłnej (ciemna, od obfitości w kwas węglany). Ostatnia nie jest zdolna do odżywiania organizmu, gdyż brak jej dostate-

cznej ilości tlenu, niezbędnego do życia; krew ciemna przechodzi w jasno-czerwoną pod wpływem tlenu głównie w płucach, gdzie *ten przeważnie wiąże się chemicznie z ciałkami czerwonymi*, znajdując się w nich w części jako ozon, t. j. tlen daleko silniejszą własność utleniania mający, podczas gdy wydalany zostaje kwas węglany. *Od ilości więc ciałek czerwonych w krwi, zależy będzie — ceteris paribus — ilość tlenu, jaka do organizmu się dostanie.* Na tém polega ważność *zmniejszenia ilości ciałek czerwonych krwi przy niedokrewności, — zmniejszenia, zależnego od mniejszej ilości krwi w ogóle.* (d. c. n.)

ROMANTYCZNOŚĆ PRZED MICKIEWICZEM.

(Ustęp z większej całości)

Napisał Adam Bełcikowski.

(Ciąg dalszy. Ob. Nr. 6.)

Uporawszy się w ten sposób z najpierwszymi powagami romantyczności, przekonawszy na drodze historycznej że poezya nową się mianująca jest tylko wynikiem czasów barbarzyństwa albo niedokończonego wykształcenia, bierze ją pod krytykę albo raczej stawia pod pręgierz rozsądku. Naturalnie, utwory romantyczne bez przepisów sztuki, puszczające imaginację na oslep, zaprawione do tego idealnością i mistycznością niemiecką, nie mogą wytrzymać tej krytyki — skąd autor przechodzi do wniosku, że ten „nowy rodzaj pisania, jest otworzoną drogą do robienia szaleńców.“

Ostateczny powód tego zboeczenia umysłu ludzkiego, widzi Śniadecki w nowej filozofii niemieckiej, w tej metafizyce, która odrzucała zasadę Lokka, że wszystkie nasze pojęcia pochodzą od zmysłów, a przypisywała duszy jakieś idee wrodzone i utrzymywała, że drogą nadnaturalnej intuicji można dojść do prawdy i poznania. On, matematyk i naturalista, zwolennik materyalistycznych systemów Lokka i Condillaca, z całej duszy nienawidził tej idealnej filozofii, i to nie tylko spirytualisty Szellinga ale nawet realniejszego Kanta. Gdyby romantyczność nie miała była w sobie tyle pierwiastków tej filozofii, gdyby jej mistyka nie graniczyła tak blisko z niemiecką metafizyką, bezwątpienia Śniadecki nie byłby w tej sprawie zabierał głosu. Tak jednak jak rzeczy stały, bał się obalamucenia umysłów temi nowymi teoryami, i zapobiegając aby za pośrednictwem poezyi nie wdaryły się na pole nauki i umiejętności, wystąpił w szranki przeciw romantyczności i kruszył kopie za klasycyzmem.... Ostrzegając przeto ziomeków przed tém niebezpieczeństwem, zaleca trzymanie się bezwzględnie dawniej drogi, najsejslejszy konserwatyzm umysłowy: „My Polacy! zostawmy obcym to pole chwały; bądźmy skromniejsi w naszych zamiarach, a trzymajmy się rozsądku. Słuchajmy nauki Lokka w filozofii, przepisów Arystotelesa i Horacego w literaturze; a prawideł Bakona w naukach obserwacji i doświadczenia. Uciekajmy od romantyczności, jako od szkoły zdrady i zarazy!“

Czytając te słowa po upływie przeszło pół wieku, przechodzi mimowoli na myśl pytanie, podobne do tego, które zadał Śniadecki względem Szekspira: czy byłibyśmy mieli dziś jakkolwiek poezya, gdyby literatura usłuchała była tych rad i tej przestrogi?... czy ów zachwalany „rozsądek“ nie byłby doprowadził literatury do nicności, do zera?... Rzeczy ludzkie idą niewstrzy-

manym pędem, żadna powaga nie zgodna z duchem czasu ich nieutamuje, a głos napozór najczystszy rozsądku, jest czasem głosem najnie-rozsądniejszym. Gdyby wolno było po odniesieniu zwycięztwie naigrawać się z przeciwnika, gdyby zasługi Śniadeckiego na innym poloznoku, nie nakazywały dla jego osoby uszanowania, czyż nie możnaby jego, klasyka wierzącego tylko w rozsądek, porównać do owego arcyromantycznego i arcynierozsądnego rycerza z La Manszy, co wyruszał w świat do walki przeciw czarodziejom i strachom, we własnej urojonym głowie?

W ten sposób zaczęła się głośna w dziejach naszej literatury walka klasyków z romantykami. Hasła zostały wypowiedzane: ze strony romantyczności głosem jeszcze niepewnym i nieśmiałym, ze strony klasycyzmu, stanowczym i dumnym.... jedni mieli przed sobą przyszłość mglistą i niewiadomą; drudzy całą przeszłość za sobą i terażniejszość, której byli panami.

Nie obwiniamy Śniadeckiego, że miał zapatrywanie, które nam dzisiaj nierozsądnem się wydaje; trudno mu było przewidzieć przyszłość, a przeczuć ją mogli ci tylko, którzy ją nosili w łonie. Tego zarzutu jednak uniknąć nie zdoła, że sobie zbyt ufal, że brał na siebie zbyt wielką odpowiedzialność, choć zapewne sam nie czuł się na siłach, ażeby w tej sprawie wydawać tak absolutne wyroki. Nie należy także pominąć milezieniem, że w swoim czasie pismo jego dostało należyty odprawę. Tegoż samego roku jakiś nieznany autor zgromił surowo i bez żadnego względu, w Pamiętniku Warszawskim niefortunne odezwanie się Śniadeckiego. (Uwagi nad J. Śniadeckiego rozprawą „O pismach klasycznych i romantycznych“).

Najsilniejszym i w treść rzeczy trafiającym zarzutem było to, że autor Uwag z rozprawy Śniadeckiego mógł wyciągnąć ten wniosek, „że się porwał na rzecz nie swoje.... że zgola nie znając literatury romantycznej, wsiadł na Fausta (którego znał zapewne tylko z treści podanej w r. 1818 przez Pamiętnik Warsz.)... że gdyby był czytał spisy tylko osób w tragediach Szyllera, byłby się dowiedział, że tam nie ma ani diabła, ani upiora, ani anioła“.... Wobec tej nieznajomości przedmiotu, słusznie również dziwi się autor, jak Śniadecki mógł „dyktatorską powagą tak śmiało wyrokować,“ i nie czytając ich dzieł, ludzi obdarzonych geniuszem nazywać szaleńcami. Wreszcie trafną także daje mu przestrożę, że nawet dobro narodu które miał na celu, usprawiedliwić go nie może, bo „chcąc narodowi w czém radzić, na rzeczy znać się potrzeba.“

Pomimo tej doraźnej, i co najmniej, energicznej odpowiedzi, rozprawa Śniadeckiego, przynajmniej w oczach klasyków, nie straciła swojego znaczenia. Bardzo im to było na rękę, że człowiek uczony wyręczył ich, poetów, w obronie teorii poetycznych, których byli wyznawcami. Przy znanym ich wstępie do rozumowych dyskusji wygodnym było, mieć zawsze na pogotowiu tego rodzaju maczugę na nieposłusznych, i niejako wyrok najwyższego trybunału, który w każdej chwili nad głową przestępcy można było odczytać. Że tak było, pokazuje się z tej okoliczności, że jeszcze w r. 1825. M. Mochnacki widział się zmuszonym pisać w Dzienniku Warsz. „Niektóre uwagi nad poezją romantyczną z powodu rozprawy J. Śniadeckiego: O pismach klasycznych i romantycznych,“ a co więcej, że Mochnacki nazywa tę rozprawę „pamiętną w dziejach literatury polskiej,“ jej autora największym nieprzyjacielem“ romantyczności, i że wreszcie wyraźnie powiada, iż „stronniczy klas-

yczności w rozprawie J. Śniadeckiego, powabem stylu, jasnością i precyzyą wyrażen, attyckim, a częstokroć rubasznym ozdobioną dowcipem, upatrują okazałe non plns ultra niewstrząśnionych dowodów, służących do wysmiania wszystkiego, co z mniemaną ich w poezyi i literaturze prawowiernością nie jest zgodne“....

(d. c. n.)

BYŁY KOŚCIÓŁ Ś. JERZEGO.

W WARSZAWIE.

Jedyny szczątek średniowiecznego budownictwa zachowany w Warszawie w całej czystości pierwotnego swego ogólnego pozoru stanowi górna część façady byłego kościoła Ś-go Jerzego, gdzie dziś odlewnia fabryki Ewansa, Lilpola i Rau. (ryc. Nr. 3). Styl tej cząstki starych murów, obmurowanej nowszemi, i wtłoczonej między budowle fabryczne, świadczy o jej dawności, nie sięgającej zapewne założenia kościoła, w każdym razie jednak powstałej nie później jak w drugiej połowie XIII wieku: za rządów Konrada Mazowieckiego, księcia na Czersku, bardzo łaskawego na kanoników Laterańskich Czerwińskich, którym ten kościół wraz z ogrodami otaczającymi go podówczas, i z wsiami Wojcieszyno i Koczargi, nadał. Jednocześnie z tą façadą musiała być zapewne podniesiona wyżej lub przebudowana i wieża (ryc. Nr. 1), której górne piętra a zwłaszcza okna były jednego z façady stylu. Obie te części dawnego kościoła, z których jedna istnieje jeszcze, druga zaś, to jest wieża, jako grożąca upadkiem, lat temu kilka rozebrana została, noszą na sobie tę ważną cechę wieku swego iż są nie otynkowane i że obramowanie okien i wnęk, zasklepieniem przypominających przejściową chwilę z romańskiego półkola w ostrołuk, mają wykonane z cegieł umyślnie tak wyrobionych, aby położone jedna na drugą złożyły się na wcięcia i zaokrąglenia zdobiące węgły zewnętrzne otoków. Pierwotny kościół zdaje się iż musi sięgać dawniejszych jeszcze czasów, pierwszych może chwil założenia Warszawy. Dowody na to znajdują się w budowlu samej, dowody odrzucane często przez badaczy historycznych zabytków budownictwa, dla braku dokumentów pisanych, niemniej jednak dla znawców sztuki starożytnej przekonywujące i jasne. Jednym z najważniejszych są półkoliste zasklepienia niegdyś okien, a dziś pozostałego po nich tylko arkadowania zgodnego w swym zarysie ze śladem trójga małych okien widocznych po nad pierwszą arkadą zamurowaną; wewnątrz od strony chóru i façady kościoła (ryc. Nr. 2.) Drugim dowodem jest umieszczenie wieży przy presbiterium czyli w tym końcu kościoła gdzie był wielki ołtarz, co po XIII wieku już się niespotyka, a tém bardziej w XV, w którym kościół ten miał być na nowo przebudowany; jest zaś to umieszczenie wieży charakterystyczną cechą kościołów północnej Europy z XI i XII wieków. Do tych dowodów mógłbym dołożyć jeszcze jeden, który już tylko w pamięci przechowuję — to jest iż zakończenie kościoła od strony wielkiego ołtarza było wybudowane najzupełniej w stylu najdawniejszych bazylik rzymskich. Była to wielka półkolista wnęka zasklepiena w ćwierćkuli, ozdobiona ośmiokątnymi kasetonami. Lat temu dwadzieścia część ta istniała jeszcze w zupełności; zniesiona została przed kilku laty przy zmianach zaprowadzonych dla rozszerzenia odlewni, a jedynym śladem istnienia tego bazylikowego kształ-

tu byłego kościoła Ś-go Jerzego, jaki by mógł jeszcze do dziś pozostać, (jeżeli istnieje) jest olejno malowany obrazek niewielkich rozmiarów, przedstawiający tę część wnętrza odlewni, malowany w roku 1851 przez ówczesnego ucznia szkoły sztuk Pięknych p. Józefa Brodowskiego podług mojego rysunku. Żałować przychodzi że najważniejszy dowód bardzo odległej starożytności pierwszych zakładzin budowli tej, mogących być odniesionymi na podstawie struktury presbiterium do X lub XI wieku, dziś jest już prawie niepodobnym do odszukania.

We wnętrzu kościoła którego część przedstawia rycina Nr. 2. spostrzegamy jeszcze jeden ważny przymiot budowli kościelnych pochodzących z X i XI wieku: piękne proporce arkad, śmiałość oparcia onych na stosunkowo wązkich filarach, dźwigających cały ciężar i parcie ogromnego sklepienia. W tej części wnętrza pozostały także jeszcze ślady wewnętrznego przerobienia kościoła w wieku XVI lub XVII; wybito wtedy zapewne okna drugopiętrowe ponad arkadami — otynkowawszy kościół wewnątrz poprzyczepiano gipsaturowe pilastry, gzymsy i wypukłe ozdoby sklepienia. Przy bliższych i bardziej jeszcze szczegółowych badaniach w budowlach przytykających do kościoła, a stanowiących rozmaite części fabryki, możnaby może jeszcze, choć z wielkim trudem, odtworzyć sobie resztę całego rozkładu klasztornej przyległości jak refektarza, skarbcza, cel i t. p. Oprócz tych wiadomości jakie obecnie podaję, na jeden jeszcze ślad pokościelnej miejscowości w czasie rozszerzania odlewni natrafiono kilka lat temu; na kości ludzkie w dość znacznej ilości znalezione, pomiędzy kościołem a ulicą Ś-to Jerską, gdzie dawnym zwyczajem był cmentarz przykościelny. Oto jest wszystko co o stylu budowlanym początku i przemianach tego dawnego zabytku na podstawie jego dzisiejszego i niedawno minionego stanu wywnioskować można; dobadanie się daty jego narodzin i całej kronikarskiej części pozostawiam tym, którzyby zagłębiwszy się w zbutwiałe akta, chcieli dopowiedzieć, czego z ruiny doczytać już niepodobna: kamienie i cegły niech poprą pargamin lub odwrotnie, jeżeli pargaminy przetrwały mur niechaj mu będą świadectwem.

ŻEBRACY.

Obraz przedstawiający powrót żebraków z dorocznego odpustu w Kalwarii Zabrzydowskiej, ma Hogartowski nastrój charakterystyki, niedość na tém iż tu filuterya żebraków z rzemiosła wydatną została wybornie, przez owych rzeko-

mych kalekich którzy po zebraniu grosza litościwych wracają do domu kule na ramiona pobrawszy, ale jeszcze wiele brzydoty i sarkazmu przedstawiają postacie dwojga, niewiasty i mężczyzny bez nóg; złośliwa naśmiewa się z towarzysza wyprawy iż mu jego sztuczna noga, koziołek, potoczył się z drogi w błoto; opodal znajdująca się karczma a przed nią parę postaci żebraczych z szklanicami, jakoby witających zbliżających się maruderów dopełnia miary w przedstawieniu ujemnej strony żebractwa.



Nr. 3 KOŚCIÓŁ Ś-go JERZEGO (facyata).

(50).

BIBLIOGRAFIA.

Wieczory Czwartkowe. Opowiadania o cudach przyrody i znakomitszych odkryciach naukowych, młodocianemu wiekowi poświęcone przez starego przyjaciela dzieci, — z 30 drzeworytami. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa, 1871. —

Nie jest to dzieło ściśle wykładowe, lecz wybornie posłużyć może widokom pedagogicznym pod względem rozbudzenia umysłu dziecka i wzbogacenia go pożytecznymi wiadomościami. Słyszeliśmy o wielu wypadkach przekonujących że dzieło starego przyjaciela dzieci doznaje niepospolitego

powodzenia w tej właśnie sferze, dla której jest przeznaczonem, t. j. pomiędzy dziećmi, które nie mogą oderwać się od zajmującej książki i wiele z niej odnoszą korzyści. Nie dość tego... Wiadomości z nauk przyrodniczych tak mało są u nas rozpowszechnione, że i starsi czytują *Wieczory Czwartkowe* z pożytkiem i przyjemnością. Niektórzy wprawdzie z pedagogów nie laskawi są na naukę udzielaną drogą rozrywki. Zdaniem ich nie mało na tém traci dokładność i systematyczność wiadomości, umysł zaś wdrażając się do przyjmowania naukowego pokarmu w formie łatwej i powierzchniowej, nie nabywa jedności niezbędnej dla samostniejszej pracy; lecz z drugiej strony niepodobna zaprzeczać ogromnego znaczenia popularyzowaniu nauki, gdy forma jej poważniejsza z jakichkolwiek względów byłaby nieodpowiednią usposobieniu lub naukowemu zasobom czytelnika. Z tego też stanowiska należy zapatrywać się na *Wieczory Czwartkowe*. Nie jest to wykład fizyki lecz pogadanka o rzeczach z dziedziny nauk przyrodniczych, koniec końcem nader nauczająca. Autor jej zasłużył się rodzinom naszym przez napisanie tej książki. Obecnie, gdy Redakcja Biblioteki Warszawskiej ogłosiła konkurs na dzieło, którego przedmiotem ma być wykład prawd i wiadomości z dziedziny przyrody i ducha, dla podniesienia umysłu i uszlachetnienia serc młodych, nie znamy pióra zdolniejszego do podjęcia się powyższego zadania, jak zacne pióro starego przyjaciela dzieci.

Wieczory Czwartkowe mieliśmy jedynie do zarzucenia pewną rozwlekłość i mniej staranne opracowanie ostatnich rozdziałów. Przytaczamy spis dający wyobrażenie o treści dzieła: I. Para. — Barometr. — Ciężkość powietrza. — II. Pierwsze maszyny parowe. — O cieple. — Historia Watta. — III. Deszcze i rzeki. — Historia Fultona. — Prawo Archimedesza. — IV. Lokomotywa. — Ogień i kominy. — Najnowsze koleje. — V. Magnes i kompas. — Maszyny elektryczne. — Butelka Lejdejska. — VI. Latawiec Franklina. — Galwani. — Stos Wolty. — VII. Rozkład ciała i związki chemiczne. — Galwanoplastyka. — Co to jest głos? — VIII. Telegrafy powietrzne. — Elektromagnetyzm i Telegrafy. — Inne Elektryczne maszyny. — IX. Co to jest światło? — Odbijanie. — Zwierciadła płaskie i wklęsłe X. Camera obscura. — Łamanie światła. — Soczewki. — Skład oka. — Złudzenia optyczne. — XI. Dagerotypy. — Fotografia i rozmaite jej zastosowania. — XII. O barwach. — Wiadmo słoneczne. — Mikroskopy i teleskopy.



Panu Hajk w Świencianach. Kalendarz wysłałiśmy. Przepisy pocztowe niepozwalają zaklejać koperty.

Treść: Sztuki Piękne. — Herod-Baba, powieść J. I. Kraszewskiego (c. d.) — O niedokrewności (niedokrwistość, anaemia). — Romantyczność przed Mickiewiczem, przez Adama Belcikowskiego (c. d.) — Były Kościół Ś-go Jerzego. — Żebracy. — Bibliografia. — Ryciny: Żebracy, kopia z obrazu Kotsisa, znajdującego się na wystawie Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych. — Kościół Ś-go Jerzego. (trzy rysunki).